Rok IV.

Nr. 1. **Nr. 1.**

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 2 stycznia 1874.

Fryderykowska Ul. Nr. 19.

Od nowej Redakcji.

„Nie schlebiam sobie, ażebym w pełni swéj prawdy wiedział cokolwiekbądź.“

Schleiden

Szanowna Publiczności!

Ze zmianą roku i redakcji zmieniamy zarazem cel i układ naszego pisma.

1) Odtąd usuwamy zupełnie wszelkie rozprawy i sporne artykuły wyłącznie politycznéj, a mianowicie drażliwéj treści religijnéj;
2) przeważnie zajmiemy stanowisko objektywnie śledcze;
3) Według pierwotnéj myśli założyciela i jak godło samo pisma orzeka, stanie się ono rzeczywistym tygodnikiem: Wielkopolskim, czasopismem naukowém, literackiém i artystyczném, t. j. wyrazem ruchu umysłowego ludności polskiéj pod rządem pruskim na polu nauk, literatury i sztuk pięknych.

Świadomi jesteśmy tego, że utrzymanie się na stanowisku takiém, ażeby nie tknąć nic a nic ani religijnych, ani politycznych zasad, nie jest możliwém w piśmie jak nasze; ale ponieważ nie utrzyma się u nas żadne pismo, któreby wyłącznie miało reprezentować jakiegobądź stronnictwa wymagania, na to silić się będziemy, ażeby „Tygodnik Wielkopolski“ utworzył rodzaj salonu neutralnego, w którymby mogły się zestrzelić z czasem w senatorskiéj zgodzie, a w spólnym interesie naukowo-literacko-artystycznym, nawet najskrajniejsze potęgi umysłowe, które dziś, ze szkodą rozwoju duchowego, działają w rozproszeniu. Da Bóg, że z czasem staniemy się organem nietylko Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ale i Towarzystw Przemysłowych, oraz echem najciekawszych publicznych odczytów w obrębie zakreślonym. „Gość w domu, Bóg w domu“ będzie i naszą zasadą. Ale jakkolwiek radzi będziemy każdéj pracy gości z po za naszéj geograficznéj granicy, pragniemy przedewszystkiém zespolić tu prace uczonych, literatów i artystów Prus, Wielkopolski i Szlązka i stać się niejako ich przedstawicielami w obec reszty polskiego świata uczonego.

Nie użalemy się na apatję, na którą się w ogóle uskarżają, a to według naszych pojęć zupełnie bezzasadnie. Czujemy albowiem, że dziś jeszcze nie widoczne w skutkach usiłowania naszego rozwoju duchowego — są bardzo donośne w przyszłości, a wykonywane z wielkiemi ofiarami. Ztąd téż wolno nam tuszyć sobie, że znajdziemy

liczniejsze niż dotąd poparcie, — jeżeli odpowiemy potrzebom publiczności.

Czy to nam się uda?

Czas okaże niebawem.

Redaktor pisma jak niniejsze jest, według naszego widzenia rzeczy, tém w obec czytelników i współpracowników, czém jest przewodniczący każdego zgromadzenia.

On, jako kierujący, nie powinien ani objawiać swych przekonań osobistych, ani zabierać głosu w rozprawach, chyba że opuści swe krzesło i stanie w szeregu jako zwykły członek zgromadzenia, stósujący się do przepisów.

Ale:

odgadywanie momentu pragnień wszelkich odcieni;

kierowanie rozprawami tak, ażeby one, o ile tylko można, jak najwięcéj się godziły z pojęciami wszystkich stronnictw i ich odcieni;

sumienna w téj mierze sprawiedliwość i bezstronność;

baczność na to, ażeby cel pożądany był jak najwszechstronniéj wykazany i świetnie osiągnięty;

ażeby zgromadzenie odbyło się bez żadnego szwanku;

a przedewszystkiém straż jak najczujniejsza prawdy, piękna i użyteczności;

oto są najgłówniejsze obowiązki redaktora.

Co zaś do rozpraw samych — te już są objawem osobistych zalet i zdolności piszących. Tu więc na to się trzeba przygotować, że. „chata tém będzie rada, czém bogata.“

Dla tego, ażeby módz i w téj mierze wystąpić jak najskuteczniéj, upraszamy:

1) wszystkich czytelników, bezwzględnie na płeć i wiek, o uwagi, rady i wskazówki tyczące się ulepszenia naszego pisma;
2) publiczność o najliczniejszy udział w prenumeracie po pocztowych urzędach, ażeby mieć jak najwięcéj środków na wynagradzanie autorów;
3) ostatecznie bezwzględnie wszystkie potęgi umysłowe o zasilanie nas swemi pracami.

Tym sposobem prowadzony i silnie poparty nasz „Tygodnik Wielkopolski“ może stać się jeszcze bardzo cennym pomnikiem skutków, jakie wywołują na nasz rozwój duchowy szkoły i wychowanie pod rządem pruskim.

Co do bliższych szczegółów naszego programu dodamy jeszcze, że:

1) bardzo baczne przestrzeganie, ażeby zachować czystość i wykwintność przecudnéj naszéj mowy, oraz i piękno we formach artykułów;
2) popularyzowanie naukowéj wiedzy w zastósowaniach;
3) sięganie po skarby w literaturze Sławian, Włochów, Niemców, Anglików i Francuzów, ilekroć nam własnych zasobów nie starczy:
4) rozprzestrzenianie części artystycznéj, dotąd w ogóle u nas po macoszemu zbywanéj;
5) utrzymywanie ciągłéj i jak najrozleglejszéj bezpośredniéj styczności z czytelników zdaniami za pomocą skrzynki;
6) staranie się o jak największą rozmaitość co do treści i o bogactwo myśli;
7) wesoły i swobodny tok pisma

będą szczeblami naszego pochodu.

Utrzymując jak najprzyjaźniejsze stósunki z innemi pismami wszelkich obozów politycznych i religijnych, których pragniemy być uzupełnianiem, a idąc powyżéj wskazanym torem, pismo nasze powinno się stać rzeczywistym przyjacielem domowym każdéj z wyższym polotem ducha rodziny wielkopolskiéj i źródłem zapomogi licznym uczonym, literatom i artystom. — „Trzeba umieć żyć i pozwalać żyć innym.“

Władysław hr. Chotomski,
Redaktor kierujący.

Od Wydawnictwa.

Swego celu wydawnictwo nie zmienia i nie zmieni.

Jest nim:

zaspokajanie potrzeb naukowych, literackich i artystycznych polskiego społeczeństwa a mianowicie Wielkopolski.

Zysk materjalny nie był, nie jest i nie będzie zamiarem dla nas, jako dla wydawcy i właściciela Tygodnika Wielkopolskiego; ale dalszych strat ponosić nie możemy.

W stósunku do tego, jak obecnie kierujący redaktor potrafi odpowiedzieć celom wydawnictwa, — a miarą dla nas jest **liczba prenumeratorów**, — i my z naszéj strony obracać będziemy przewyżkę nakładowego funduszu na rozprzestrzenienie rozmiarów i na ilustracje pisma.

Kobieta w historji sztuki.

VII (a).

Na początku listu poprzedniego nadmieniłem kilkoma słowami, jak trudném jest wydać sąd jasny, pewny, a przedewszystkiém bezstronny o wieku ośmnastym; starałem się wskazać powody téj trudności, zatém bliskość jego — niedokonane wpływy — niedokończone dziejowe zdarzenia, a głównie okoliczność, że my, jako bezpośredni ośmnastego wieku spadkobiercy i spokrewnieni z nim duchowo, nie jesteśmy zdolni — jako interesowani — do wydania przedmiotowego wyroku.

Te same uwagi muszą się nasunąć umysłowi naszemu, gdy mamy charakteryzować wiek dziewiętnasty, którego jesteśmy dziećmi i pracownikami. Możeż sąd o nas samych być bezstronnym? Zdaje mi się, że — nie.

Porwani ogólnym prądem wieku, rzadko kiedy możemy beznamiętnie zastanowić się nad prądem niosącym nas; prawie nigdy nie zdajemy sobie sprawy o ostatnim celu naszych dążeń, a jeśli kiedy zapytujemy siebie o drogę, po któréj, i o cel, do którego dążymy, odpowiadamy sobie sami tak niejasno i bałamutnie a zawsze tak stronnie, że zawstydzeni naszą niewiadomością, przestajemy pytać i biegniemy daléj a daléj.

Jesteśmy pracownikami wieku, wszyscy bez wyjątku. Każdy z nas wwikłany jest w tę olbrzymią walkę ludzkości o jéj prawa; a niosąc na barkach dzieje wszystkich poprzednich wieków, dokładamy sobie codziennie nowego ciężaru i zamiast upadać pod nim, wytężamy siły i dążymy niezmordowanie naprzód — ku światłości.

Jako jednostki, ludy, narody i państwa zaciągamy się w szeregi postępu, a ponieważ interesa jednostkowe, narodowościowe i państwowe stoją często przeciw sobie nieprzyjaźnie, powstaje owa chaotyczna walka przekonań i interesów, w obec któréj i w skutek któréj nie zawsze możemy być pewni, czy zwycięzko kroczymy w postępie, czy się téż w stecz cofamy. Bo choć postęp jest prawem ludzkości, koniecznością niepowstrzymaną niczém, jednakowoż prawo to może być na czas krótki osłabione pozornie innemi podrzędnemi prawami, a my mierząc usiłowania i dzieje wieku według skali własnych interesów, nie możemy wydać sądu dojrzałego o czasie w którym żyjemy.

Nie powinno nas zatém dziwić, że prawie codziennie słyszymy o wieku naszym wręcz przeciwne wyroki; dla jednych idzie on naprzód, dla drugich cofa się; — tamci od niego wyczekują zbawienia, owi spodziewają się zatraty.

Cóż więc jest prawdą? Jest nią jedynie to, że o wieku naszym, jego dążeniach, wynikach jego pracy nie możemy wydać ostatecznego sądu — bo jest jeszcze teraźniejszością. Możemy tylko zanotować jego polityczne dzieje, jego cywilizacyjną pracę jako kronikarze; możemy nawet rozeznać krytycznie niektóre materjały do dziejów jego ogólnych — a resztę, to jest pogląd i wyrok ostatni musimy zostawić przyszłości, która o nas powie czyśmy kroczyli naprzód — w postępie ku światłości.

Nie chcąc uchybić zasadzie, która nam kazała w każdym z poprzednich listów dać ogólny obraz wieku, musimy i tutaj zastósować się do niéj, z tém jednak zastrzeżeniem, że o ile pogląd na poprzednie wieki był względnie przedmiotowym, o tyle obraz wieku naszego będzie wynikiem osobistego przekonania.

Możesz go Pani przyjąć jeśli trafi do jéj przekonania, odrzucić, jeśli Cię nie zadowoli.

O politycznych wypadkach wieku naszego mówić nie będę.

Jestem przekonany, że dobrze znane są Pani dzieje Europy od rewolucji francuzkiéj, aż po dzień dzisiejszy; żeś obznajomiona ze szczegółami téj walki, jaką toczyły ludy o swe polityczne i narodowe prawa, bądź z tyranami na tronach, bądź z innemi ludami, które tamtym odmawiały prawa samodzielności państwowéj.

Duch rewolucyjny, jaki nam przekazała Francja ośmnastego wieku, nadał cechę dziejom naszego. Przypatrzmy mu się uważnie a przekonamy się, że jest jednym ciągiem rokoszów, obudzonego w ludach poczucia wolności, przeciw wszystkim prawom i bezprawiom, jakie tamowały rozwój tegoż w postępie dziejowym.

W walce téj o polityczne prawa upadały częstokroć ludy, a dzisiejszy stan polityczny Europy okazuje, że nie wszystkie narody cieszą się wolnością. — Nie wypada jednakowoż wnioskować z tego, że poczucie i postęp wolności są w stósunku do wysileń o ich zdobycie — bardzo małe, a dopóki w ludach nie zginęła żądza wolności, dotąd nie można mówić o bezpowrotnych upadkach.

Walka nie wywalczona jeszcze — przed nami przyszłość!

Nieco dłużéj chciałbym się zastanowić nad cywilizacyjną pracą wieku naszego. Rozumiem pod nią postęp umysłowy ludzkości — dążność do zebrania jak największych zasobów wiedzy.

Jeżeli pod tym względem zaczniemy robić poszukiwania — przekonamy się, że wiek nasz postąpił naprzód i ciągle kroczy śmiało i niewstrzymanie.

Wiek ten więcéj uczynił wysileń w celu zbogacenia ludzkości w wiedzę, jak kilka poprzednich przed rewolucją wieku ośmnastego. Horyzonty wiedzy naszéj rozszerzają się z dniem każdym daléj — wiedza przynosi nam coraz nowsze i większe korzyści — olbrzymiego postępu nie możemy zaprzeczyć.

Cóż jest przyczyną tego postępu? zapytasz Pani.

Wątpienie!

Górującym objawem ducha wieku naszego jest sceptycyzm. Jest on ojcem wszelkiéj wiedzy, a zrodził się nie za naszych czasów, ale przed wieloma wiekami w umysłach kilku potężnych myślicieli; rósł następnie i objął sobą większą liczbę myślących jednostek; potém, stał się w wieku ośmnastym wyrazem całego piśmiennictwa, przez nie znalazł przystęp do całych społeczeństw, a dziś jest potężnym wyrazem zbiorowéj ludzkości.

Kto wierzy tylko — ten nie postępuje; pierwsza zaś wątpliwość zmusza go do zastanawiania się, badania, a to ostatnie musi w następstwie przynosić wiedzę. — Im większe wątpienie, tém potężniejsze badanie; im rozleglejsze, głębsze i systematyczniejsze badanie, tém wyniki jego pewniejsze i prawdziwsze, a suma wątpień powodujących sumę badań daje na rezultat: powszechny zasób wiedzy.

Rozumne wątpienie jest błogosławieństwem ludzkości; jemu winna ona dzisiajszy stan swój umysłowy, względną wolność polityczną, swobodę myśli, słowa i sumienia, a ci, którzy tak gorliwie powstają na sceptycyzm wieku, którzy na samo jego wspomnienie przerażają się jakby widmem złowrogiém i radziby cofnąć ludzkość w średniowieczne czasy ślepego wierzenia*), dowodzą krzykiem swym, że im chodzi o partykularne interesa kasty lub stanu, a nie mogą się wznieść do pojęcia ogólnego dobrobytu ludzkości.

Dozwólmy im mówić o zepsuciu wieku, szanując wolność myśli i słowa, jakiéj także żądamy dla siebie. Umilkną sami, gdy zmniejszająca się z dniem każdym

*) **Zwracamy uwagę czytelników, że tu nie o wierze, ale o wierzeniu mowa.**

(Przyp. Red.).

liczba ich zmaleje do jednostek — gdyż większością owładnie duch wieku wcześniéj czy późniéj.

Wiek nasz jest więc czasem wątpienia, okresem badań we wszystkich gałęziach wiedzy, a dochodzący praw zmysłowych i umysłowych rozum człowieka -- zastąpił dawnych naszych przodków wierzenie.

Umysłowy nasz postęp mamy do zawdzięczenia, nie dobrotliwym monarchom, nie rządom opiekuńczym i protekcji uprzywilejowanych klas, ale tym potężnym sceptykom, którzy wątpieniem swém burzyli gmachy dawnéj ciemnoty, przesądów, nietolerancji; którzy rwali więzy, jakie krępowały ludzkość na drodze postępu; mamy do zawdzięczenia ludziom, którzy potęgą swego genjuszu stawiali gmach wiedzy w miejsce wierzenia i odkrywali prawa, jakie panują w świecie duchowym i fizycznym.

W stósunku do potężnienia zasobów wiedzy w ludzkości, rość będzie cześć dla tych mężów; ludzkość zrozumie, że przewodnikami jéj w postępie byli Kopernicy, Leibnice, Newtoni, — Cuviery, Monteskiusze, Humboldzi — a nie cesarskie Rudolfy i Frydryki — nie królewskie Filipy i Augusty....

Sceptycyzm wieku ośmnastego pomnożywszy się w wieku naszym, sprawił postęp we wszystkich gałęziach wiedzy, pozwolił nam większą część nauk wznieść do rzędu umiejętności, a zarazem zastósować do potrzeb życia. — Filozofja ze wszystkiemi poddziałami, prawodawstwo, ekonomja polityczna ze wszystkiemi zastósowaniami do polityki, gospodarstwa finansowego i rolnego — nauki przyrodzone w całym swoim obszarze — nietylko że poddane zostały głębszemu zbadaniu, ale utrwalone w najważniejszych swych prawach i skierowane równocześnie na drogę praktycznego użytku dla ludów, narodów i państw. — Badanie nie ustaje, bo nauka nie kończy się nigdy, codziennie nowe widzimy odkrycia, nowe poznajemy prawa i na podstawie tych praw rodzą się wynalazki, które są dumą naszego stulecia.

MÓWNICTWO.

Najnowsza z umiejętności historji naturalnéj

przez

Władysława hr. Chotomskiego.

I. Jak i kiedy powstała ta umiejętność?

Wiosną 1861 roku cisnęło się najdoborowsze a bardzo liczne zgromadzenie do sali wykładowéj w „Royal Institut“ w Londynie, ażeby usłyszeć dźwięczny i pełen życia głos pierwszorzędnego niemieckiego uczonego Maxa Müller, dla którego utworzono w Oxfordzie osobną katedrę nowéj, przez niego uzasadnionéj umiejętności, którą nazwiemy *mównictwem*, czyli umiejętnością językowéj ludzkiéj mowy (Sprachwissenschaft, Science du langage). Nie jest to bynajmniéj, tak zwana przez Żochowskiego: *mownia* czyli gramatyka, bo z tą nauką mównictwo mało ma styczności. Zanim mównictwo stało się umiejętnością, uprawiano je dość długo jako różne nauki pod nazwami: *filologji porównawczéj*, *głosologji*, to jako część *archeologji* albo *etnologji*, a nawet *historji*. Wiekowe, olbrzymie prace Leibnitza, Wilhelma Humboldt, Adelung'a, Boppa, Pritcharda, braci Grimm, braci Schlegel, Pott'a, Bournouff'a, Benfey'a, Rask'a, Hervas'a, Kuhn'a, Schleichera, Curtius'a, barona Bunsen i wielu innych pominiętych, a szczególniéj dawniejszych jeszcze: niezliczonych misjonarzy protestanckich i katolickich — dostarczyły do téj umiejętności materjału nader obfitego.

Wszystkie umiejętności nieomal, jakoby na upokorzenie zarozumiałości ludzi pysznych ze swych skarbów wiedzy, nie objawiły żadne nadzwyczajne pomysły uczonych warstw społeczeństwa, ale, owszém odwrotnie, najpierwszego do nich materjału dostarczyły: uwagi i spostrzeżenia bynajmniéj nie uczonych.

Tak się działo z astronomją czyli *gwiazdziarstwem*. Najpierwszy stopień wiedzy mieli o niéj pasterze, rólnicy, strzelcy i rybacy, którym zależało na tém, ażeby nie ginęli z głodu w obszarach pustyń, mórz, gór i lasów, albo żeby mogli trafić do swych siedzib i rodzin.

Tak było z botaniką, któréj najpierwsze podwaliny zgromadzili rólnicy, ogrodnicy, pasterze, strzelcy i rybacy, którzy chodowali zboża, jarzyny i warzywa, wyławiali z łona mórz dziwnych kształtów rośliny i t. d.

Tak powstała matematyka przez tęż samą klasę ludzi, bo oni musieli rozmierzać po powodziach granice swoich pól, odległość w jakiéj od domu na morzu odpływali, musieli rozdzielać swą zdobycz, swe plony pomiędzy sobą, uzyskane wspólną pracą lub takiémż niebezpieczeństwem.

Chemja i technologja powstały przez wiedzę najpierwéj zebraną przez kucharki, które jeść gotowały, przez kowali i innych rzemieślników pracujących za pomocą ognia, wody, wiatru i t. d.

Otóż tak samo powstało mównictwo, przez kupców, majtków i innych wędrowców, którzy mając styczność z najrozliczniejszemi narodami naszéj kuli ziemskiéj, dostarczyli: pojedyńczych wyrazów z języków obcych ludów, jako najpierwszy materjał téj nowéj umiejętności, — bo ona tylko same luźne wyrazy bada.

Dla czego mównictwo jest *umiejętnością*? Wykażemy.

2. Różnica pomiędzy wiedzą: jako spostrzeżeniami lub uwagami, jako nauką i jako umiejętnośoią.

We wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiéj rozróżniamy trzy stopnie jéj rozwoju. Najpierw jak do jakiéj budowli gromadzi się materjał albo zupełnie surowy, albo jakoś przyrządzony czy obrobiony. Często przez długie wieki leży na pozór bezużyteczny i przechowuje się w naturze, tradycji i zapiskach. Ci co nań natrafią, badają pojedyńcze, często przypadkiem gdzieś nagromadzone rozliczne i różnorodne przedmioty. Rozpatrując się w ich przymiotach i właściwościach, porównywając jeden przedmiot z drugim, badacz czyni nad tym materjałem różne uwagi i spostrzeżenia, czasem jak najdziwaczniejsze, jak najmylniejsze. Te *uwagi i spostrzeżenia*, jakieby one nie były, stanowią pierwszy stopień każdéj przyszłéj umiejętności.

Gdy się nagromadzi już tyle tych uwag i spostrzeżeń, że w nich rozpoznać się nie łatwo, że trudném już i spamiętać, chociażby i spisane te sądy i doświadczenia o przedmiotach; że powstaje już pomięszanie pojęć, natenczas dla ułatwienia sobie wiedzy: trudnością tą znienoleni ludzie, zaczynają ten zapas wiedzy swéj o tych przedmiotach *klasyfikować* czyli *porządkować*.

To uporządkowanie właśnie stanowi drugi stopień wiedzy, który nazywamy nauką. Zawsze dla naszego ograniczonego rozumu ta droga jest konieczną. W tym stopniu wiedzy mównictwo rozklasyfikowane czyli uporządkowane uprawiano jako naukę, pod powyżéj wzmiankowanemi nazwami wiedzy: filologji porównawczéj, glosologji i t. d. a czego nie można tam było umieścić, brano nawet i pod dziejoznawstwo.

Po uporządkowaniu zaczyna się upatrywać jednoty i ustroju czyli związku pomiędzy sobą tych zasobów wiedzy, — jeszcze bardzo różnorakich w pojedyńczych badanych przedmiotach. Te związki poznaje się: porównywując znowu z osobna jakikolwiek przedmiot z już uporządkowanych, nietylko z najbliższemi w klasyfikacji, ale i z dalszemi, aż do najskrajniejszych. Więcéj nawet, bo trzeba jeszcze porównywać i względne wszystkie uwagi i spostrzeżenia, sądy i doświadczenia dotąd wyrzeczone o tych przedmiotach. Dopóty się to wszystko porównuje: dopóki się nie wyłowi wszystkich omyłek najznaczniejszych, dopóki się nie usuną wszelkie sprzeczności w orzeczeniach, — aż nareszcie powstanie sama jednakowość tak przedmiotów, jak i badań o nich. Wtedy dopiéro dochodzi wiedza do trzeciego stopnia swéj wartości — t. j. do umiejętności (Wissenschaft, Science). W tym stopniu wiedzy cokolwiekbądź się nawinie, czy to jaki jeszcze nieznany dotąd przedmiot, czy jakie orzeczenie o niém: — to biegły w umiejętności od razu wié, w które miejsce uporządkowania ta rzecz nowa należy. Dopiéro w umiejętności można od razu znaleźć każdy przedmiot i sąd o nim i zużytkować je właściwie, a to właśnie jest celem każdéj umiejętności.

W dzisiajszym stanie rzeczy wiedza o mowie ludzkiéj jest umiejętnością, któréj w Angjli najpierwiéj utworzono katedrę — i uniwersytet oxfordzki uznał je jako umiejętność ścisłą a jako gałęź historji naturalnéj.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HELENA.

Powieść Turgenjewa.

(Ciąg dalszy.)

XXVI.

Przez cały tydzień pozostawał Insarow między życiem a śmiercią. Bezustannie odwiedzał go lekarz, którego, jako młodego jeszcze, żywo zajmował śmiertelnie chory. Szubin dowiedział się o niebezpieczeństwie w jakiém się znajdował Insarow i raz go odwiedził; rodacy jego, Bułgarzy, przychodzili także często. Wszyscy szczere okazywali współczucie, niektórzy nawet proponowali Bersenjewowi zastąpienie go u łoża chorego; ale on nie chciał na to przystać, wierny danemu Helenie słowu. Widywał ją codziennie i zawiadamiał — bądź to ustnie, bądź za pomocą karteczki — o postępach choroby. Jakże jéj biło serce gdy go oczekiwała, gdy słuchała jego rozmowy lub wypytywała! Chciała ciągle widzieć Insarowa, prosiła o to jak o najwyższą łaskę; Bersenjew przecież błagał ją aby zaniechała tego zamiaru: Insarow tak rzadko był sam. Pierwszego dnia gdy się dowiedziała o jego chorobie, o mało że nie rozchorowała się sama; skoro powróciła do domu, zamknęła się natychmiast w swoim pokoju, a gdy ją poproszono do stołu, weszła do jadalnéj sali z twarzą, na któréj widok wylękła się Anna Wasilewna i natychmiast ją do łóżka wysłała. Wreszcie udało się Helenie zapanować nad sobą. — Jeśli on umrze, i ja go nie przeżyję — powtarzała sobie ciągle z cicha. Myśl ta uspokoiła ją, w niéj czerpała siłę okazywania ludziom spokojnéj, obojętnéj twarzy. Zresztą nikt w szczególności jéj téż nie niepokoił: Anna Wasilewna nie miała po temu czasu, zajęta walką z reumatyzmem; Szubin oddawał się z całą namiętnością pracy; Zoe wpadła w melancholję i po całych dniach trapiła Werthera; Mikołaj Artemjewicz był mocno niezadowolniony z zbyt częstych wizyt „studenta“, tém więcéj, że jego „plany“ względem Kurnatowskiego postępowały wolno niezmiernie, gdyż praktyczny naczelny sekretarz czuł się dotkniętym i pozwalał teraz na siebie czekać.

Helena ani razu nie podziękowała Bersenjewowi: są przysługi, za które trudno nam idzie podzięka, co więcéj, któréj wstydzimy się wymówić. Raz tylko, było to za czwartą jego u nich bytnością, — po nocy bardzo ciężkiéj dla Insarowa, gdy lekarz zażądał konsyljum, — przypomniała mu uczynioną przysięgę. — Więc chodźcie, rzekł jéj. Wstała, aby się przebrać. — Nie, powiedział, — czekajmy jeszcze do jutra. Nad wieczorem lepiéj się zrobiło Insarowowi.

Cały tydzień trwała ta męczarnia. Helena pozornie była spokojną, ale nic jeść nie mogła i nie sypiała całemi nocami. Ból jakiś głuchy objął wszystkie jéj członki, doznawała uczucia jakby gorąca, duszna, sucha para zapełniła jéj głowę. — Nasza panienka gaśnie nam w oczach jak światło, mówiła o niéj jéj pokojowa.

Wreszcie dziewiątego dnia nadeszła kryzys. Helena siedziała w saloniku obok Anny Wasilewny i czytała jéj bezmyślnie „Moskowskije Wiedomosti“, gdy wszedł Bersenjew. Helena rzuciła mu spojrzenie — jakież szybkie, pełne troski, jak bystre było zawsze to pierwsze spojrzenie — i zgadła natychmiast, że jéj jakieś dobre przynosi wieści. Uśmiechał się i lekko głową skinął; powstała i podeszła ku niemu.

— Przyszedł do przytomności, jest uratowany, za tydzień będzie zdrów zupełnie, szepnął jéj.

Helena wyciągnęła ręce przed siebie jakby szukała podpory, nie odpowiedziała ani słowa, — usta jéj tylko drżały silnie i rumieniec oblał twarz całą. Bersenjew zaczął rozmawiać z Anną Wasilewną, Helena zaś pobiegła do swego pokoju, padła na kolana, modliła się i dziękowała Bogu.... Promienne łzy szczęścia zalały jéj twarz. Teraz dopiéro poczuła nagle kompletne sił wyczerpnięcie, pochyliła głowę na poduszki i szepnąwszy z cicha; — Biedny, biedny Audrzéj Piotrowicz! zapadła natychmiast, z nieoschłą od łez twarzą, w sen głęboki. Dawno już nie zamykały się snem jéj oczy, dawno już łzy ich nie zwilżały.

XXVII.

Bersenjewa przepowiednia w części się tylko sprawdziła: niebezpieczeństwo minęło, ale siły powracały Insarowowi bardzo powolnie; doktór nadmieniał coś o głębokiém i ogólném wstrząśnieniu całego organizmu. Tymczasem chory opuścił już łóżko i przechadzał się po pokoju; Bersenjew powrócił do swego mieszkania, ale odwiedzał codziennie słabego jeszcze przyjaciela i codziennie też, jak poprzednio, uwiadamiał Helenę o stanie rekonwalescenta. Insarow nie pisywał do Heleny i w rozmowie z Bersenjewem przelotnie tylko wspominał jéj imię; Bersenjew natomiast opowiadał mu z do-

skonale wystudjowaną obojętnością o swych odwiedzinach u Stachowów, przyczém jednakże szczególny kładł nacisk na smutek poprzedni Heleny i obecny jéj powrót do spokoju. I Helena nie pisała do Insarowa, co innego miała ona w myśli.

Jednego dnia, gdy jéj Bersenjew z wesołym na ustach uśmiechem przyniósł wiadomość, iż doktór pozwolił dziś Insarowowi zjeść kotlet i że wkrótce będzie już musiał wychodzić po trochu, zamyśliła się i spuściła ku ziemi głowę... — Zgadnijcie, co ja wam chciałabym powiedzieć? rozpoczęła. Bersenjew zmięszał się. On ją zrozumiał. — Prawdopodobnie, odpowiedział nie patrząc na nią, — chcecie mi powiedzieć, że go pragniecie zobaczyć. Helenę oblał rumieniec i ledwie dosłyszalnym głosem szepnęła: — Tak!

— A cóż wam stoi na przeszkodzie? O ile sądzę, nie będzie wam to trudno. — Pfe! myślał sobie, — co za szkaradne uczucie wypełzło z jakiegoś zakątka mojéj duszy.

— Chcecie powiedzieć, że ponieważ raz już.... rzekła Helena. — Obawiam się jednak.... on teraz, jak to mówiliście, tak rzadko jest sam.

— To przecież łatwo usunąć, odpowiedział Bersenjew zawsze nie patrząc na nią. — Jego przysposobić wprawdzie nie mogę, ale daj mi pani karteczkę. Któż może wam zabronić pisać do niego, jako do dobrego znajomego, dla którego macie szczere współczucie? Toż w tém nie ma nic niestósownego. Skłońcie go... to jest, napiszcie mu kiedy chcecie być u niego.

— Wstydzę się, rzekła z cicha Helena.

— Dajcie mi kartkę, ja ją zaniosę.

— To nie potrzebne, ja chciałabym was prosić właśnie... tylko się na mnie nie gniewajcie Andrzeju Piotrowiczu... nie chódźcie wy jutro do niego.

Bersenjew zagryzł do krwi usta.

— Ah! tak, rozumiem, no, dobrze, dobrze. Coś tam jeszcze dodał i szybko wyszedł z pokoju.

— Tém lepiéj, tém lepiéj! myślał dążąc pospiesznie do domu. — Nie dowiedziałem się niczego nowego, tém lepiéj. Czemuż się czepiam obcego gniazda? Nie mam sobie nic do zarzucenia, uczyniłem wszystko, co mi nakazywało sumienie, ale teraz już dosyć. Niechaj idzie! Nie było to czczym frazesem co mi niegdyś mówił ojciec: myśmy, mój chłopcze, nie sybaryci, nie arystokraci, nas nie wypieścił ani los, ani natura, nam nie być nawet męczennikami, — myśmy robotnicy, zwykli robotnicy. Więc przypasz sobie fartuch robotniku, przystąp do warsztatu twéj ciemnéj, ponuréj pracowni! Słońce niech innym przyświeca! I nasze samotne życie ma swoją dumę — swe szczęście!

Następnego rana odebrał Insarow miejską pocztą króciuchną karteczkę: — Czekaj na mnie, pisała mu Helena, — i nie przyjmuj nikogo. A. P. nie przyjdzie.

....

XXVIII.

Z nachmurzoną twarzą przebiegał Mikołaj Artemjewicz wzdłuż i wszerz swój gabinet. U okna z założonemi nogami siedział Szubin i spokojnie palił cygaro.

— Zaprzestańcie też już raz tego spaceru z jednego kąta pokoju w drugi, rzekł otrząsając popiół z cygara. — Oczekuję, żebyście raz przecie zechcieli co powiedzieć, śledzę pilnie każde wasze poruszenie... aż mnie już od tego kark zabolał. A potém wasz chód ma w sobie coś wymuszonego, coś melodramatycznego.

— Że was też zawsze tylko trzymają się żarty, odpowiedział Mikołaj Artemjewicz. — Nie chcecie się postawić w mojém położeniu, nie chcecie zrozumieć, żem ja się przyzwyczaił do téj kobiéty, że czuję do niéj pewną skłonność, że jéj nieobecność musi mnie martwić. Już nadchodzi październik, wkrótce zima zawita... Co ona tam może robić w Rewalu?

— Prawdopodobnie robi pończochy... dla siebie; dla siebie... nie dla was.

— Śmiejcież się, śmiejcie ile wam się podoba; ja wam jednak to tylko powiedzieć mogę, że nie znam żadnéj kobiéty, którą możnaby było z nią porównać. Ta uczciwość, ta bezinteresowność....

— Czy zrealizowała wiadomy wam weksel? spytał Szubin.

— Ta bezinteresowność, powtórzył Mikołaj Artemjewicz głos podnosząc, — budzić może podziw. Mówią mi, że na świecie są miljony innych kobiét; ale ja powiadam zawsze: pokażcie mi te miljony, pokażcie te miljony, powiadam: c e s f e m m e s... q u' o n m e l e s m o n t r e! I nie pisze nawet słowa, to okropne, z tego doprawdy umrzeć można!

— Jesteście wymowni jak Pythagoras, zauważył Szubin; -- jednak wiecie co ja bym wam radził?

— Cóż?

— Gdy Augustyna Chrystjanówna powróci... rozumiecie mnie?

— No tak; cóż wtedy?

— Skoro ją znowu zobaczycie... Tylko idźcie uważnie za biegiem mojéj mowy?

— Ależ tak, tak przecie.

— Spróbujcie raz ją obić porządnie; co to z tego wyniknie!

Mikołaj Artemjewicz odwrócił się niechętnie.

— A ja myślałem, że on mi rzeczywiście jakiéj rozsądnéj rady udzieli! Ale czegoby się też od niego można spodziewać! Artysta, człowiek bez zasad...

— Bez zasad! A wasz ulubieniec, pan Kurnatowski, człowiek zasad, pono wczoraj w grze, jak mówią, zabrał wam sto rubli srebrem. To niegrzecznie z jego strony, przyznacie.

— A i cóż ztąd? Przecież to nie była gra hazardowna. Rzeczywiście, powinienem się był spodziewać... Ale w tym domu tak mało umieją go cenić....

— Że aż pomyślał sobie wreszcie: nie udaje się jedno, może się uda drugie, uzupełnił Szubin; — czy go mieć będę za teścia lub nie, to jeszcze jest tajemnicą spoczywającą w urnie losu, sto rubli przyda się zawsze temu, co nie bierze łapówek.

— Teściem! Czy ja mu będę teściem? V o u s v o u s m o q u e z, m o n c h e r. Zapewne, każda inna dziewczyna czułaby się szczęśliwą, gdyby jéj los takiego narzeczonego przeznaczył. Sam to przyznasz: człowiek zręczny, rozumny, o własnéj sile, bez protekcji wzniósł się tak wysoko, w dwóch gubernjach spełniał trudną służbę...

— W gubernji X... wodził za nos gubernatora zauważył Szubin.

— Być może. Widać, że to było potrzebne. Człowiek praktyczny, doświadczony...

— I dzielny gracz w karty, zauważył znów Szubin.

— No tak, w karty tu gra dobrze. Ale Helena Mikołajewna. Jak ją tu pojąć? Chciałbym wiedzieć gdzie znaleść człowieka, któryby się podjął zgłębić jéj myśli? Raz jest wesoła, to znów smutna; chudnie na raz tak, że patrzyć na nią nie można i nagle znów przychodzi do siebie, a wszystko to bez żadnego widocznego powodu...

Służący, niezbyt polecającéj powierzchowności, wszedł do pokoju z kawą, arakiem i sucharkami na tacy.

— Ojcu podoba się narzeczony, ciągnął daléj Mikołaj Artemjewicz giestykulując sucharkiem — ale cóż o to dba córka! W owych starych, patrjarchalnych czasach było to na miejscu, ale nie dziś; dziś myśmy wszystko przewrócili. N o u s a v o n s c h a n g é t o u t ç a. Dziś panna rozmawia z kim jéj się podoba tylko, czyta co jéj się podoba, chodzi na przechadzkę sama, bez służącego, po całéj Moskwie biega bez kobiécego towarzystwa, całkiem jak w Paryżu; taki teraz obyczaj. Nie-

dawno temu pytam: gdzie jest Helena Mikołajewna? Wyszła, odpowiadają mi. Gdzie? nikt nie wie. Jestże to... porządek?

— Weźcież już raz waszą filiżankę i pozwólcie człowiekowi odejść, wymówił Szubin. — Sami przecież powtarzacie często, że nie powinno się devant les domestiques... dodał półgłosem.

Służący zmierzył Szubina od stóp do głów wzrokiem, podczas gdy Mikołaj Artemjewicz brał filiżankę, dolewał araku i zabierał z tuzin sucharków.

— Chciałem mówić, rozpoczął znów skoro tylko służący wyszedł, — że ja w tym domu nic nie znaczę. Otóż i wszystko. Bo w tych naszych teraźniejszych czasach sądzi się wszystko z pozoru: jeden, człek głupi i próżny występuje z powagą... i odbiera cześć ogółu; drugi, obdarzony może zdolnościami, które... które mogłyby wielkie przynieść korzyści, ale obok tego skromny...

— Czyś ty mężem stanu, Nikolinka? spytał Szubin cienkim głosem.

— Dajcież raz pokój farsom! zawołał Mikołaj Artemjewicz gniewnie. — Zapominacie się! Otóż świeży dowód, że ja w tym domu nic nie znaczę, zupełnie nic!

— Anna Wasilewna zaprawia wam życie goryczą... Biedny człowieku! rzekł Szubin przeciągając się. — Eh, Mikołaju Artemjewiczu, dajcie pokój tym wyrzekaniom! Lepiéjby było, gdybyście pomyśleli o jakim ładnym podarunku dla waszéj małżonki. W tych dniach są jéj urodziny, a wiecie najlepiéj, jak wielką wagę przywiązuje do najmniejszéj z waszéj strony oznaki pamięci.

— Tak, prawda, odpowiedział pospiesznie Mikołaj Artemjewicz, bardzom wam obowiązany, że mi to przypomnieliście. Istotnie, istotnie, to konieczne. Przypadkowym sposobem posiadam właśnie rzecz odpowiednią, fermoar, który nabyłem niedawno; nie wiem tylko rzeczywiście czy będzie dość ładny?

— Czy nie kupiliście go przypadkiem dla owéj Rewalanki?

— To jest... ja... no tak... miałem zamiar...

— No, to pewnie jest już ładnym.

Szubin wstał z krzesła.

— Gdzież dziś wieczorem pójdziemy Pawle Jakowlewiczu, hę? spytał Mikołaj Artemjewicz patrząc mu w oczy przyjaźnie.

— Wy pewnie pojedziecie do klubu?

Ale po klubie... po klubie?

Szubin znów się przeciągnął.

— Nie, Mikołaju Artemjewiczu, jutro muszę pracować. Na inny raz. I wyszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Literacki portret kierującego Redaktora Tygodnika Wielkopolskiego.

(Pierwszy grzech nowéj Redakcji: artykuł stary jak świat, ze stanowiska nieobjektywnego, — a co gorsza, łatany niedojrzałą humorystyką).

Zaledwieśmy redakcyjnie ułożyli wzorowo lojalne artykuły aż do niniejszego, gdy ktoś szepnął nam na ucho:

— Winszuję, ale nie zazdroszczę ci twego pierwszego numeru... czytelników!

— Czemu? zapytałem zmięszany.

— Nowy kierunek, nowy redaktor. Każda nowość wszystkich rozciekawia i bawi. Ależ będą nicować!!

O tém, wyznajemy szczerze, nie pomyśleliśmy! Ze lwiego serca, jakie czuliśmy bijące w piersi przy obejmowaniu redakcji, czujemy od téj chwili — bicie serca, — ale zupełnie zajęczéj natury.

I na raz straciliśmy wszelką redaktorską równowagę!

Co!! — My, — Redaktorska Mość i Nasze całe mądrości mamy stać się: zabawką!.. i przedmiotem ciekawości i nicowań!...

To okropne!!...

O! gdybyśmy tylko mogli choć na ten dzień dzisiajszy nabyć zkąd różczkę czarodziejską, — przez samą zemstę za takie Nam uchybienia, — wszystkich naszych niezwykłych czytelników, skoroby się tylko dotknęli tego numeru, przemienilibyśmy natychmiast w prenumeratorów całorocznych na nasze pismo, i skazali na trwałe czytywanie onegoż.

Nie!... toby za sroga była kara. W ćwierćrocznych tylko abonentów. To dosyć!...

Ha!..

Już czujemy jak nas w lica kłują miljony promieni sypiących żarem z tylu rozciekawionych wzroków! Gorąco!...

Czoło i policzki nasze płoną rumieńcem rodzaju wstydliwości, jakiéj każdy doznaje, kto rzeczywiście zasiadł na — cenzurowanem!

Co gorsza!.. Coś niby niezliczone roje rozdrażnionych ós, kręcą się i brzęczą i potrącają i rażą straszliwie nasze jeszcze nieotrzaskane, nowo sprawione redaktorskie słuchy. Są to najniedyskretniejsze pytania, sądy, uwidzenia i uprzedzenia! Kto on?... co on?... jaki on?... czego chce?... co myśli?...

„Ależ uspokój się!“ woła mnie rozsądek do porządku. „Przyrzekłeś być objektywnym, — a tu sam siebie za subjekt stawiasz! .. pfe!...“

Przepraszam!... już póki życia mego tego więcéj nie będzie!

Odpowiem natychmiast na te wszystkie natrętne pytania — i to jak najobjektywniéj: com ja wart jako literat? kto mnie rodził? gdzie się chowam? co czuję?

Nie, to byłoby za wiele do odpowiadania!

Okażę po prostu swój najwierniejszy portret miniaturowy, — ujrzą, jakim ja jestem literatem.

To powinno zaspokoić wszystkich, którzy nie mają honoru bliższéj ze mną znajomości.

Już w 1814 roku, t. j. lat jedenaście przed naszém a pięćdziesiąt sześć przed Tygodnika Wielkopolskiego narodzeniem się, przepowiedziano, że będę Redaktorem Tygodnika Wielkopolskiego, — a jakiś nieznany francuzki autor tak nas zarysował:

„Prawdziwy literat (t. j. Redaktor Tygodnika Wielkopolskiego) czuje się być ożywionym dzielniejszą nad innych inteligencją, a w towarzystwach doznawał wiele żywych i głębokich wrażeń; żadną hańbiącą wadą nie zaraził swéj duszy; żadna plama nie zbrudzi jego życia; religijnym jest i z uczucia i w skutek głębokich swych naukowych badań. Ożywia on duszę swoją przyjacielskiemi stósunkami i szczytnemi myślami; stara się o to, ażeby w sobie otworzył wszelkie źródła życzliwości dla innych; jest pobłażliwym w skutek zastanawiania się nad walką z własnemi słabościami. Z trudnością oswobodzony od pospolitych błędów ludzkich, wbrew światłu jakie sobie zdobył, miałżeby on prześladować lub poniżać tych, którzy tkwią jeszcze po pod mgłą, przez którą się on szczęśliwie przebił w krainy światła? Wyższość jego chroni go od pychy; uznaje: że jego wartość nie jest jego dziełem, i że światłem przez Stwórcę mu nadaném powinien oświecać ludzi, a nie upokarzać ich. W niewinnéj swéj ambicji próbuje ogarnąć cały ogrom wiedzy ludzkiéj; a czego nie może wyuczyć się, to nie gardzi tém, czego nie umie. Wie on, że człowiek pomnażając swe światło, pomnaża swe najczystsze rozkosze; przebiega strop niebios z Herszlem i Casinim; śledzi roślinności cuda tak bacznie, jak Turnefort; czynna

myśl jego goni Cooka i Lapeyronse po okolicach, w których stopa Europejczyka nie postała jeszcze. Bada w podziwie arcydzieła Michałów Aniołów i Rafaelów; doznaje natchnień słuchając tonów Pergolezów i Jomellich. Roznamiętniony ku wszystkim talentom, dumnym bywa z wszystkich tryumfów, jakiemi tylko się zaszczyca jego kraj i jego wiek; raduje się czy to odkryciom jakimkolwiek, co rozwijają ludzki umysł ułatwiając pracę, czy to sztukom pięknym, takim, które przypominają ludziom ich godność człowieczą; przyklaskuje z głębi serca swego wszystkim swym współzawodnikom; uśmiecha się do swoich rywalów. Po każdém zwycięztwie genjuszu — serce mu z radości rośnie, bo nie zna pozioméj zazdrości, która jest milczącém przyznaniem się do nieudolnéj miernoty; owszém uczuwa ów szlachetny popęd, który znagla prawdziwe talenta do bezustannych nowych a innych usiłowań. Ubiega się za czcią, ceniąc ją jako najsilniejszą podporę cnót broniących duszy, ażeby nie dała uwodzić się ziemskiém bogactwem, którego ostatecznie nabyć można sprzedając swą niepodległość. Cześć podtrzymuje mu ducha w chwilach klęsk, a nadto stawa mu u celu jego żywota jako ostateczna nagroda za ziemskie trudy; umie on rozróżnić ją od honoru, jak się rozróżnia rzeczywistą istotę od urojonego widma. Nie zadowolnią jego ducha żadne chwilowe i przemijające zwycięztwa, albo jakaś wątpliwa reputacja; nie uchyli czoła ani dla tego, że tak każe moda panująca, ani dla tego, że kogoś lub coś wywyższyła czyjaś łaska, ani dla tego, że tak czynić nakazuje jakiś przesąd czasowy. Potęga bez wielkości, bogactwo bez zasług, talent bez charakteru nie uzyskają sobie w nim hołdownika. Umysł jego nie gubi się w zyskach interesów materjalnych, albowiem kieruje się on uczuciem i życzliwością. Jeżeli ubóztwo nie zdolne złamać mu jego dumy, jeżeli nie umie ani prosić, ani kłaniać się dla osobistych korzyści, to jednak się poświęci i w tém, porzuci najulubieńsze swe zajęcia i wygody domowe, skoro przeczuwa: że może przez to wyrwać kogo z kłopotu lub komu łzy osuszyć w niedoli. On wie, że nikt nie jest wielkim na ziemi sam z siebie, lecz że się wydaje tylko takim, bo wyniesiony jest na zasługach swych poprzedników, a przy pomocy współtowarzyszów w pracy; myśli tak, jakoby nikt jeszcze przed nim o tém samém nie myślał; pisze, jak gdyby on pierwszym i jedynym był tłómaczem, jakiego Bóg ludziom zesłał; umie być świéżym, gdy wszystko w około niego więdnieje, oryginalnym w całéj gromadzie naśladowców; wymownym i czułym w czasach zdziczałości i samolubstwa. Po tysiącach utworów prawdziwy literat jeszcze znajdzie nowe formy dla innych niebyłych; nigdy nie będzie bluźnił swemu narodowi albo swemu wiekowi. W pośrodku wahających się opinji potrafi zostać niewzruszonym obrońcą wytkniętych sobie zasad; jest oględnie pobożnym wśród niewiernych, pobłażliwym (tolerant) w obec fanatyków, mścicielem w obec łamiących prawa natury. Celem jego usiłowań jest, ażeby przypominał lub naśladował ludzi, którzy stali się chlubą ojczyzny“ *).

Mamy to przekonanie, że to jest nasz żywcem z natury zdjęty i jak najwierniejszy portret. Jeżeliby zaś komu się wydawało, że tu lub owdzie nieco za pochlebny, — coby być mogło, bo wówczas nie znano jeszcze fotografji, to bagatelka taka nic a nic nie szkodzi; a w końcu byłaby tylko kwestją czasu. Nikt nie powątpi, że możemy mu być podobnymi, — a że chcemy — będziemy! Zaraz... Już jesteśmy!... Ktoby zaś z czytelników o tém wątpił, a co gorzéj w to nie wierzył, takich:

1) z pierwszéj kategorji skazujemy na karę:
zaprenumerowania nietylko naszego pisma, ale i wszystkich innych wychodzących w polskim języku pod rządem pruskim na lat dziesięć i na natychmiastowe wypłacenie z góry gotówką i na jednym stole prenumeraty do rąk właściwych naszych administracji; zwalniając atoli z obowiązku czytywania onychże.

2) z drugiéj zaś kategorji na
taką samą karę, ale z bezmiłosiernym warunkiem udręczenia tych niegrzecznych męczeństwem czytywania.

Upraszamy Szanowną Publiczność, a mianowicie kolegów redaktorów i wszystkich piszących a szczególnie nietłustych literatów jak i stałych prenumeratorów a przyjaciół Tygodnika Wielkopolskiego, ażeby raczyli ściśle przestrzegać i dopilnować tych naszych rozporządzeń ze względu na solidarność proklamowaną na wstępie niniejszego numeru. Zaręczamy, że w skutek braku salonowego wychowania w naszym geografijnym obrębie, — o wiele świetniéj na tém wykonaniu naszego prawa wyjdziemy, niżeli na naszych prenumerataah i dotychczasowych honorarjach. Będziemy mieli do podziału: pruskich bankocetlów więcéj, niżeli dziś papieru do druku wypotrzebujemy: bo niegrzecznych będą legjony. My zaś, kierujący Redaktor Tygodnika Wielkopolskiego, zasłużymy sobie w świecie cienkich literatów na to, że staniemy się chlubą i wzorem do naśladowania dla wszystkich redaktorów.

Dan w naszém biórze 3 stycznia 1874.

Sydaław Chochlik,
w imieniu i z upoważnienia
kierującego redaktora.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

Nowe dzieła:

— **Lenartowicz Teofil.** „Szopka.“ 3 wydanie. Lwów, nakładem księgarni polskiéj.

— **Schlosser F. K.** „Dzieje powszechne“, tom IV. Lwów, nakładem księgarni polskiéj.

— **Zuliński Tadeusz** Dr. „O antropologji w stósunku do dziejów.“ Odczyt miany 18 marca r. p. we Lwowie. Warszawa, nakładem Kroniki Rodzinnéj. 1873.

— **Rola, T. J.** „Ziarnka mądrości.“ Warszawa, 1874, nakładem Teodozego Piekarskiego.

Skrzynka do listów.

— p. A. J... w Ch...: Wysłaliśmy Kalendarz i Notatki.

— p. L. D... w R...: Album Kopernika wysłano. — Podróże Humbolda wyczerpane.

— Szanownym prenumeratorom „Wisły“: Rozesłaliśmy zamówione u nas egzemplarze.

— P. Julji D. z Grąz.: Za życzenia wywzajemniamy się; najuprzejmiéj dziękujemy za tyle trafne Pani uwagi — iż je wykonaliśmy co do joty i upraszamy o dalsze względy i uwagi.

— A. Q. Lwów. 1. 25. II. — Upraszamy o przysłanie pracy.

— P. A. S.: W odpowiedzi na zapytanie odesłaliśmy odnośny numer Dziennika Poznańskiego, w którym jest bilans Tellusa.

Odpowiedzialny redaktor Franciszek Sadowski. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego i u M. Leitgebera.